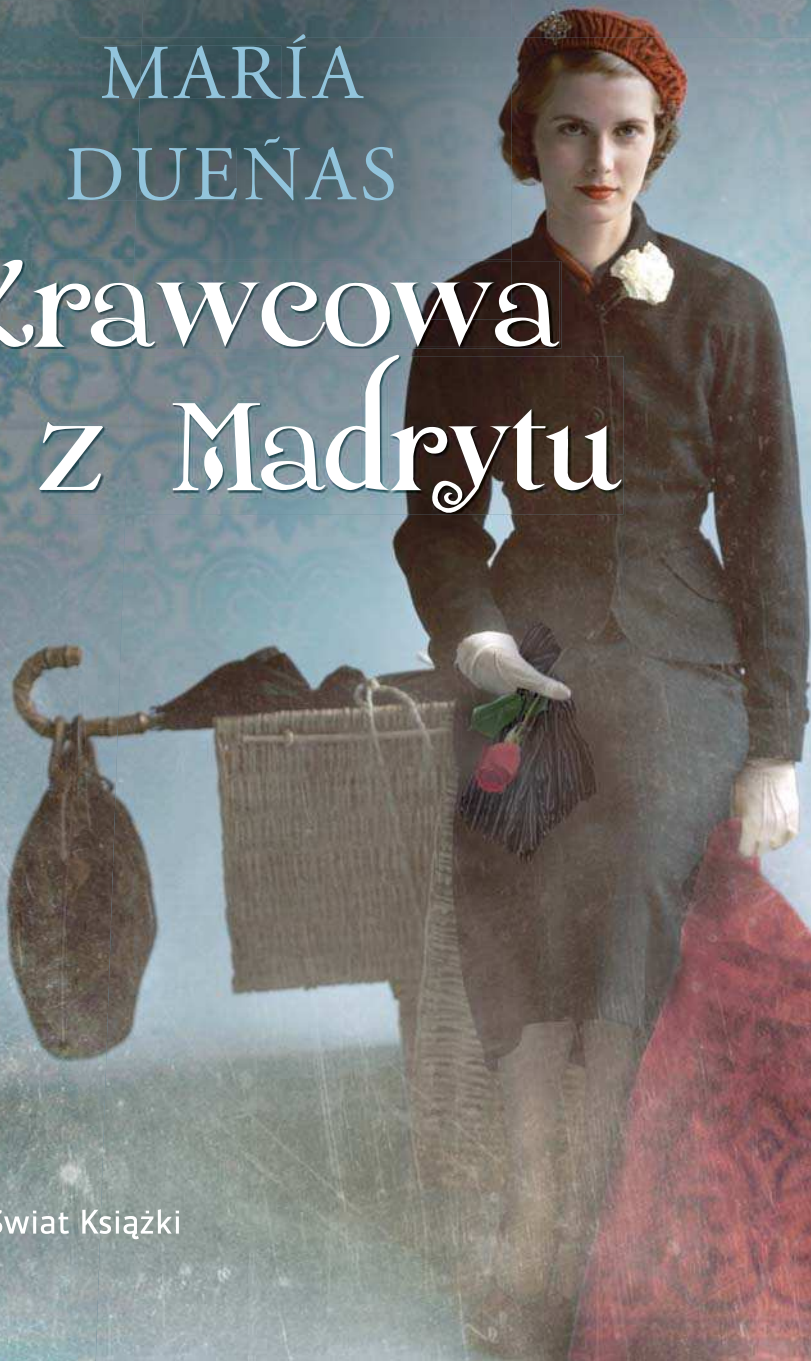


1,5 MLN SPRZEDANYCH EGZEMPLARZY

MARÍA
DUEÑAS

Krawcowa z Madrytu



Świat Książki

Krawcowa
z Madrytu

MARÍA
DUEÑAS

Krawcowa z Madrytu

Z hiszpańskiego przełożyła

Dorota Elbanowska


Świat Książki

Tytuł oryginału
EL TIEMPO ENTRE COSTURAS

Redaktor prowadzący
Elżbieta Kobusińska

Redakcja techniczna
Lidia Lamparska

Korekta
Jolanta Spodar
Miroslaw Grabowski

Książka ukazała się dzięki dotacji the Directorate General of Books,
Archives and Libraries of the Spanish Ministry of Culture

Copyright © 2009 María Dueñas
All rights reserved

Copyright © for the Polish translation by Świat Książki Sp. z o.o.
Warszawa 2011

Copyright © for the e-book edition by Weltbild Polska Sp. z o.o., Warszawa 2011

Świat Książki
Warszawa 2011

Świat Książki Sp. z o.o.
ul. Hankiewiczza 2, 02-103 Warszawa

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych - jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

ISBN 978-83-7799-278-4
Nr 90451535

Spis treści

Część pierwsza	7
Część druga	171
Część trzecia	321
Część czwarta	439
Epilog	577
Od autorki	593
Bibliografia	595

Mojej matce, Anie Vinuesa

*Rodzinom Vinuesa Lope i Álvarez Moreno
za pamięć o latach spędzonych w Tetuanie i nostalgię,
z jaką wspominają tamte czasy*

*Wszystkim dawnym mieszkańcom
Protektoratu Hiszpańskiego w Maroku
i Marokańczykom, z którymi dzielili swoje życie*

Część pierwsza

1

Mój los eksplodował za sprawą maszyny do pisania. Była to Hispano-Olivetti, od której przez długie tygodnie dzieliła mnie szyba sklepowej witryny. Patrząc na to z dzisiejszej perspektywy, zza parapetu minionych lat, trudno uwierzyć, że zwykłe mechaniczne urządzenie miało w sobie moc zdolną odmienić czyjeś życie i w cztery dni zniweczyć wszystkie miśsterne plany na przyszłość. Ale tak właśnie było i nie mogłam zrobić nic, żeby temu zapobiec.

W rzeczywistości nie miałam wówczas wielkich ambicji. Moje aspiracje dotyczyły spraw bliskich i swojskich, dostępnych na wyciągnięcie ręki, a skrojone były na miarę czasu i przestrzeni, w jakich przyszło mi żyć. W owych dniach mój świat obracał się powoli, wokół kilku osób, których obecność, jak mi się wtedy zdawało, była trwała i nieprzemijalna. Wśród nich pierwsze miejsce zajmowała matka. Pracowała jako starsza krawcowa w zakładzie modniarskim dla wykwintnej klienteli. Miała doświadczenie i dobry gust, ale nigdy nie była nikim więcej niż zwykłą krawcową, która jak wiele jej podobnych przez dziesięć godzin dziennie psuła sobie oczy i łamała paznokcie, krając, szyjąc, przymierzając i upinając na cudzych ciałach ubiory przeznaczone dla innych osób, z rzadka tylko zaszczycających ją spojrzeniem. O ojcu wiedziałam niewiele. Właściwie nic. Nigdy go przy mnie nie było, a ja wcale nie odczuwałam tej nieobecności. Nie dopytywałam się też o niego, dopóki matka, gdy miałam osiem lub dziewięć lat, sama nie

podjęła tego tematu, informując mnie skąpo i oględnie, że ojciec ma inną rodzinę i dlatego nie może mieszkać z nami. Przełknęłam te rewelacje z takim samym pośpiechem i ochotą jak ostatnie łyżki postnej zupy, której talerz stał przede mną na stole: bardziej mnie interesowała czekająca na podwórku zabawa niż życie obcego człowieka.

Urodziłam się latem 1911, w tym samym roku, w którym Pastora Imperio* poślubiła el Gallo, w Meksyku przyszedł na świat Jorge Negrete**, a w Europie dogasała gwiazda czasów zwanych belle époque. Z oddali dobiegały dźwięki bębnów zwiastujących pierwszą wielką wojnę, w madryckich kawiarniach czytywano „El Debate” i „El Heraldo”, a na deskach teatrów, w rytm pikantnych piosenek, wyzywająco kołysała biodrami Chelito, rozpalając zmysły mężczyzn. Król Alfons XII, w przerwie między jedną miłością i drugą, spłodził piątą ślubną córkę, a stojący na czele jego rządu liberał Canalejas nie przewidywał wówczas, że zaledwie rok później zginie z ręki ekscentrycznego anarchisty, który wpakuje mu dwie kulki w głowę przed księgarnią San Martín.

Dorastałam w środowisku umiarkowanie szczęśliwym i choć czasem trzeba było zacisnąć pasa, żyliśmy we względnym dostatku i bez wielkich wyrzeczeń. Nasz dom stał w ciasnej uliczce starej madryckiej dzielnicy, niedaleko placu Paja, dwa kroki od Pałacu Królewskiego. O rzut kamieniem od tętniącego zgiełkiem serca miasta – w zapachu łągu, pośród suszącej się na sznurach bielizny, rozplotkowanych sąsiadek i wygrzewających się na słońcu kotów. Uczęszczałam do osiedlowej szkoły mieszczącej się w pokoiku na półpiętrze, gdzie w ławkach przeznaczonych dla dwojga dzieci tłoczyliśmy się po czworo, wśród przepychanek i kuksańców, by głośno recytować *Pieśń pirata* i tabliczkę mnożenia. Tam nauczyłam się

* Pseudonim artystyczny Pastory Rojas Monje (1889–1979), hiszpańskiej tancerki, pieśniarki i aktorki filmowej. Jej małżeństwo ze słynnym torreadorem Rafealem Gomezem „el Gallo” przetrwało zaledwie rok (wszystkie przypisy tłumaczki).

** Jorge Alberto Negrete Moreno (1911–1953), meksykański aktor i śpiewak.

czytania i pisania, czterech podstawowych działań matematycznych oraz nazw rzek przecinających zawieszoną na ścianie poźółkłą mapę. W wieku lat dwunastu zakończyłam kształcenie i zostałam przyjęta na uczennicę do zakładu krawieckiego, w którym pracowała moja matka. Naturalna kolej rzeczy.

Właścicielka, doña Manuela Godina, zajmowała się szyciem wytwornych strojów, doskonale skrojonych i wykończonych, znanych w całym Madrycie. Suknieienne i wieczorowe, płaszcze i peleryny, w których dystygowane damy zadawały szyku na spacerach w alei Castellana, na hipodromie i meczach polo w Puerta de Hierro, w herbaciarni Sakuska i w kościele. Upłynęło jednak sporo czasu, nim zaczęłam zgłębiać sekrety krawiectwa. Najpierw byłam popychadłem od wszystkiego: wygarniałam węgiel z pieca i zmiatałam ścinki z podłogi, podgrzewałam żelazka, biegałam po nici i guziki na plac Pontejos. Znosiłam też do wybranych rezydencji gotowe stroje, zapakowane w wielkie worki z ciemnego płótna. Było to moje ulubione zajęcie, jedyna chwila wytchnienia i rozrywki początkującej adeptki krawiectwa. Tak poznałam ludzi służących w najlepszych domach: szoferów i odźwiernych, pokojówki, gospodynie i lokajów. Obserwowałam – będąc ledwie zauważana – wytworne kobiety, ich córki i mężów. Jako niemy świadek wtargnęłam do ich mieszczańskich willi i arystokratycznych pałaców, do wnętrz pełnych przepychu i rodowych pamiątek. Bywało, że nie wpuszczano mnie dalej niż do przedpokoju, a pakunek odbierał ktoś ze służby, częściej jednak zapraszano do garderoby. Prowadzona przez niezliczone korytarze, zerkałam na mijane po drodze salony, pożerając wzrokiem dywany, bogato zdobione żyrandole, aksamitne kołtary i lśniące czernią fortepiany, na których czasami ktoś grał, a czasami nie, i myślałam o tym, jak dziwne musi być życie w świecie tak różnym od mojego.

Ja zaś żyłam w obu tych światach, pogodzona z losem i wolna od wszelkiej rozterki, nie dostrzegając, jak bardzo są sobie obce. Z taką samą swobodą przemierzałam szerokie aleje, lawirując wśród ekwipaży, które zajeżdżały przed bramy

bogatych rezydencji, jak i szalony labirynt krętych uliczek mojej dzielnicy, pełnych kałuż, śmieci, wrzasków przekupek i ujadania głodnych psów; uliczek, po których ludzie przemakali w pośpiechu, a gdy rozlegał się okrzyk „Uwaga, leci!”, uskakiwali pod najbliższy gzyms, żeby nie opryskała ich wylewana za okno zawartość nocnika. Stłoczeni w wynajętych pokojach rzemieślnicy, drobni handlarze, robotnicy i szukający dorywczej pracy przybysze z prowincji nadawali temu skrawkowi Madrytu ludowy koloryt. Przeważnie nie zapuszczali się poza znany sobie teren, jeśli nie byli do tego zmuszeni; za to matka i ja codziennie wczesnym rankiem wyruszałyśmy żwawym krokiem na ulicę Zurbano, żeby zdążyć na czas do zakładu doñi Manueli.

Kiedy przepracowałam tam dwa lata, a sama skończyłam czternaście, postanowiły obie, że nadszedł czas, by nauczyć mnie szyć. Zaczęłam od rzeczy najprostszych: pętelek, obrębiania i fastrygi. Potem były dziurki, stebnówki i zakłady. Pracowałyśmy, siedząc na małych trzciniowych krzeselkach, pochyłone nad opartymi na kolanach deskami, na których piętrzyły się zwoje materiału. Doña Manuela przyjmowała klientki, robiła wykroje, przymiarki i poprawki. Moja matka brała miarę i zajmowała się resztą: sama szyła to, co wymagało największej wprawy, innym przydzielała zadania na miarę umiejętności, nadzorowała wykonanie i pilnowała dyscypliny naszego małego batalionu, złożonego z pół tuzina doświadczonych modniarek, czterech lub pięciu młodych szwaczek oraz grupki rozgadanych praktykantek, zawsze bardziej skorych do śmiechu i plotek niż do roboty. Niektóre okazywały się uzdolnionymi krawcowymi, inne nie nadawały się do zawodu i do końca życia musiały wykonywać najbardziej niewdzięczne prace. Kiedy jedna odchodziła, na jej miejsce zaraz zjawiała się druga, włączając się w rozgardiasz i bałagan, jakże nielicujący z dostojną fasadą owego przybytku mody i chłodnej elegancji salonu, do którego wstęp miały tylko klientki. Poza nimi wyłącznie moja matka i doña Manuela mogły podziwiać ściany obite szafranowym jedwabiem; jedynie im wolno było dotykać ma-

honiowych mebli i stąpać po dębowej podłodze, polerowanej przez nas do połysku bawełnianymi szmatkami. Jedynie one widywały czasem słońce, którego blask wlewał się do wnętrza przez cztery wysokie okna od ulicy. Reszta oddziału zawsze pozostawała w ariergardzie, zamknięta w szwalni, lodowatej zimą, a latem gorącej jak samo piekło, w owym szarym, ponurym gynecjum, którego dwa małe okna wychodziły na ciemną studnię podwórza i w którym godziny mijały niby poddmuchy wiatru, przy akompaniamencie skrzypiących nożyczek i nuconych półgłosem piosenek.

Uczyłam się szybko. Miałam zręczne palce, które wnet przywykły do smukłego kształtu szpilek i dotyku tkanin. Proporcje i rozmiary. Obwód biustu, stan i długość. Pacha, rękaw, skos. W wieku lat szesnastu umiałam rozpoznać rodzaj materiału, w wieku siedemnastu – określić gatunek, ocenić jego cechy i przydatność. Chińska krepa, jedwabny muślin, żorżeta, *chانتilly*. Miesiące mijały jak w kieracie: jesienią grube wełniane płaszcze i stroje przejściowe, wiosną zwiewne suknie na długie kantabryjskie wakacje na jakże dla mnie odległych plażach w La Concha i El Sardinero. Skończyłam osiemnaście, potem dziewiętnaście lat. Stopniowo zgłębiałam tajniki kroju i konfekcjonowania najtrudniejszych do uszycia części ubrań. Nauczyłam się dobierać odpowiednie wykończenie, umiałam wymodelować kołnierze i wyłogi, by leżały bez zarzutu. Lubiłam swoją pracę, sprawiała mi radość. Matka, a nawet doña Manuela zasięgały czasami mojej opinii, zaczynały darzyć mnie zaufaniem. „Ta dziewczyna ma rękę i oko, Dolores – mawiała szefowa. – Jest dobra, a jeśli zechce, może być jeszcze lepsza. Ani się obejrzysz, jak cię prześcignie”. A matka robiła swoje, jakby wcale tego nie słyszała. Ja też udawałam, że nie słyszę, i jeszcze niżej pochylałam się nad szyciem. Zerkałam na nią jednak kątem oka i widziałam, że jej wargi, spomiędzy których wystawały główki szpilek, unosiły się w nieznacznym uśmiechu.

Mijały lata, mijało życie. Zmieniała się moda, a praca w zakładzie krawieckim poddawała się jej dyktatowi. Po wielkiej

wojnie w Europie zaczęły dominować w strojach linie proste, kobiety pozbyły się gorsetów i bez odrobiny wstydu coraz śmielej odsłaniały nogi. Jednakże kiedy szczęśliwe lata dwudzieste dobiegły końca, talia sukien powróciła na swoje naturalne miejsce, spódnice wydłużyły się, a skromność znów nadawała ton rękawom, dekolantom i gustom. Nadeszła nowa dekada, a z nią kolejne zaskakujące zmiany. Mnóstwo zmian, wszystkie naraz. Skończyłam dwadzieścia lat, Hiszpania stała się republiką i poznałam Ignacia. Pewnej wrześniowej niedzieli na potańcówce w La Bombilla, w rozhasanym tłumie niesfornych studentów, szwaczek i żołnierzy na przepustce, porwał mnie na parkiet, rozbawił i rozśmieszył. Dwa tygodnie później zaczęliśmy planować ślub.

Kim był Ignacio i jak wiele dla mnie znaczył? Mężczyzna mojego życia, myślałam wtedy. Spokojny chłopak, jakby stworzony na męża i ojca. Osiągnęłam już odpowiedni wiek, a dla dziewczyn takich jak ja, bez zawodu i wykształcenia, jedyną przyszłością było małżeństwo. Los mojej matki, która wychowywała mnie samotnie, harując od rana do nocy, nie wydawał mi się zachęcającym przykładem. A Ignacio był kimś, dzięki komu nie musiałam iść w jej ślady: u jego boku mogłam spędzić resztę swoich dni, nie budząc się co rano z goryczą samotności na wargach. Nie rozniecił we mnie wielkiej namiętności, ale żywiłam do niego głębokie uczucie oraz pewność, że przy nim życie upływać mi będzie bez trosk i wstrząsów, miękkie i ciepłe jak poduszka.

Ignacio Montes miał być moją opoką, mężczyzną, na ramieniu którego wspierać się będę podczas tysiąca i jednego spaceru i przy którym zawsze będę się czuła bezpieczna. Dwa lata ode mnie starszy, chudy, uprzejmy, uległy i czuły. Ciało miał niewiele, za to wzrostu aż nadto, nienaganne maniery i serce gotowe kochać mnie z każdą godziną mocniej. Syn kasztylijskiej wdowy, która liczyła każdy grosz trzymany w sienniku; przygodny mieszkaniec ubogich pensjonatów; aspirant do zawodu urzędnika i wieczny kandydat na ministerialne stanowiska, gotów przyjąć pracę na najniższym szczeblu w zamian

za obietnicę dożywotniej pensji. Gdziekolwiek. W Ministerstwie Wojny, Rządu, Finansów. Prawie trzy tysiące peset rocznie, dwieście czterdzieści jeden miesięcznie. Marzenie o płacy ustalonej raz na zawsze po to, by na resztę swoich dni ugrzęznąć w cichym, potulnym świecie antyszambrów, postrzępionych papierów, pieczętek, bibuły i kałamarzy. Nasze rachuby na przyszłość tonęły w stojącej wodzie biurokracji – po kolejnych egzaminach z uporem odmawiano przyjęcia mojego Ignacia w poczet urzędników. On zaś, niezrażony, pisał podania. W lutym resort sprawiedliwości, w czerwcu rolnictwa, a potem od nowa.

Tymczasem, nie mogąc sobie pozwolić na kosztowne rozrywki, lecz desperacko pragnąc uczynić mnie szczęśliwą, obdarowywał mnie na miarę swoich mizernych możliwości: kartonowym pudełkiem pełnym jedwabników i liści morwy, pieczonymi kasztanami w papierowej torebce i obietnicami dozgonnej miłości na trawie pod wiaduktem. W słoneczne niedzielne poranki słuchaliśmy razem orkiestry w Parku Zachodnim lub pływaliliśmy łódką na stawie w Retiro. Bujaliśmy się na huśtawkach przy dźwiękach katarynki, nie opuściliśmy żadnej zabawy i tańczyliśmy *chotis* z zegarową precyzją. Nie zliczę, ile popołudni spędziliśmy w parku Las Vistillas i ile filmów obejrzeliliśmy w osiedlowym kinie, półtorej pesety za wstęp. Walencjańska orszada była dla nas luksusem, a taksówka fantomem. Ignacio w swej czułości nie był uciążliwy, ale nie znał miary. Byłam jego niebem i gwiazdką, byłam najładniejsza, najlepsza. Moje włosy, moja twarz, moje oczy. Moje dłonie, moje usta, mój głos. Cała byłam przedmiotem zachwytów, radością jego duszy. A ja słuchałam, mówiłam, że jest głuptasem, i pozwalałam się kochać.

Życie w zakładzie krawieckim nie toczyło się wówczas zwykłym rytmem. Stawało się coraz trudniejsze, coraz bardziej niepewne. Wraz z ogłoszeniem Drugiej Republiki powiały niespokojne wiatry, które zachwiały beztróskim dobrobytem naszych klientek. Madrytem wstrząsały gwałtowne zamieszki, napięcie polityczne czuło się dosłownie wszędzie.

Bogacze w nieskończoność przedłużali wakacje na północy kraju, by nie wracać do zbuntowanej stolicy, gdzie na każdym placu gazeciarze sprzedawali lewicowe „Mundo Obrero”, a proletariusze coraz śmielej zapuszczali się z przedmieść aż na Puerta del Sol. Okazałe limuzyny znikwały stopniowo z ulic ogarniętych nieustannym ludowym świętem. Sędziwe damy w żałobie odmawiały nowenny, modląc się o rychły upadek Azaña*, a odgłosy strzałów słychać było codziennie, gdy tylko zapalały się gazowe latarnie. Anarchiści palili kościoły, falangiści butnie sięgali po broń. Arystokraci i kapitaliści zakładali na meble pokrowce, odprawiali służbę, ryglowali drzwi oraz okna i w pośpiechu wyjeżdżali za granicę, wywożąc z kraju swoje banknoty, lęki i kosztowności, stęsknieni za wygnanym królem i potulną Hiszpanią, która, jak sądzili, jeszcze kiedyś powróci.

Do zakładu doñi Manueli zaglądało coraz mniej kobiet, było coraz mniej zamówień i mniej do roboty. Stopniowo odpływały od nas uczennice i krawcowe, aż wreszcie zostałyśmy tylko ja, matka i właścicielka. Kiedy skończyłyśmy ostatnią suknię dla markizy de Entrelagos, a potem przez sześć dni tylko słuchałyśmy radia, podczas gdy dzwonek przy drzwiach uparcie milczał, doña Manuela oznajmiła z ciężkim westchnieniem, że musi zamknąć interes.

Jednakże w owym burzliwym czasie, gdy polityczne awantury wstrząsały deskami teatrów, a rządy trwały nie dłużej niż trzy ojczenasze, nie miało sensu opłakiwanie strat. Po trzech tygodniach naszej przymusowej beczynności pojawił się Ignacio z bukiecikiem fiołków i nowiną, że nareszcie zdał egzaminy. Przygotowania do skromnego ślubu przesłoniły niepewność jutra i przy stole z piecykiem zaczęliśmy planować uroczystość. Chociaż wśród nowinek, jakie przyniosła ze sobą Republika, pojawiła się moda na śluby cywilne, moja matka, w której sercu samotne macierzyństwo współistniało zgodnie

* Manuel Azaña y Díaz (1880–1940), hiszpański lewicowy polityk i pisarz, w latach 1931–1933 premier Drugiej Republiki.

z niezłomnym katolicyzmem i nostalgiczną wiernością zde-
tronizowanemu monarsze, namówiła nas na ślub w pobliskim
kościółce pod wezwaniem Świętego Andrzeja. Ignacio i ja
przystaliśmy na to, bo jakżeby inaczej, skoro wedle naturalnej
hierarchii on spełniał wszystkie moje życzenia, ja zaś bezdy-
skusyjnie poddawałam się woli matki. Nie miałam przy tym
żadnego ważnego powodu do sprzeciwu. Cieszyłam się na tę
chwilę dość umiarkowanie i było mi wszystko jedno, czy wyj-
dę za mąż przed ołtarzem, w obecności księdza w sutannie,
czy w urzędzie stanu cywilnego, pod trójkolorową flagą.

Poszliśmy więc ustalić datę do tego samego proboszcza,
który dwadzieścia cztery lata temu, w dniu ósmym czerwca,
nadał mi – zgodnie z kalendarzem – imię Sira. Do wyboru
były jeszcze Sabiniana, Wiktoryna, Gaudencja, Heraklia i For-
tunata.

„Sira, ojcze, dajmy jej Sira. Przynajmniej krótko” – podjęła
decyzję moja samotna matka. I tak zostałam Sirą.

Postanowiliśmy, że zaprosimy tylko rodzinę i kilkoro przy-
jaciół: mojego dziadka, okaleczonego na ciele i duszy w woj-
nie na Filipinach, pozbawionego nóg i rozumu niemego świad-
ka naszych losów, tkwiącego w bujanym fotelu przy oknie
w jadalni; matkę i siostry Ignacia, które miały przyjechać ze
wsi; naszych sąsiadów z przeciwka, Engrację i Norberta, oraz
ich trzech synów socjalistów, którzy byli dla mnie jak bracia;
dońg Manuelę, która obiecała znów chwycić za igłę i nitkę,
żeby podarować mi suknię ślubną, swoje ostatnie dzieło... ugo-
ścimy ich bezowym tortem, malagą i wermutem, może nawet
uda się zamówić kapelę, żeby zagrała paso doble, a jakiś ulicz-
ny rysownik zrobi nam portret, żebyśmy mogli przyozdobić
dom, którego jeszcze nie mamy, więc na razie będziemy miesz-
kać u matki.

Akurat wtedy, w całym tym przedślubnym zamęcie, Igna-
cio wpadł na pomysł, bym przystąpiła do egzaminów i zosta-
ła urzędniczką, tak jak on. Świeżutka posada w administracji
państwowej otworzyła mu oczy na świat republikańskiej biu-
rokracji oraz ukazała perspektywy zawodowe, jakie zmiana